

Jezus dał mi nowe życie

Autor: Michał Marszałek



Poznanie Boga, nawiązanie z Nim osobistej relacji, której rezultatem jest trwały pokój i szczęście niezależnie od okoliczności, a także realna nadzieja życia wiecznego to największa rzecz, która może spotkać człowieka. To doświadczenie Bożego dzieła zbawienia obejmuje swym wpływem każdą dziedzinę życia, wytycza kierunek inny niż ten, który dotychczas

obieraliśmy.

Powyższe słowa nie miałyby większej wartości, gdybym osobiście, dzięki łasce Bożej, nie doznał rzeczywistej przemiany. Historia mojego życia (jeszcze krótka) nie należy do burzliwych. Jest to świadectwo człowieka, którego życie z pozoru wydawało się właściwe, w porządku. Nie upadłem na „dno”, wstrzymywałem się od wielu rzeczy, które choć złe, powszechnie uważane są za normalne. Przeżyłem jednak na tyle dużo, aby dojść do wniosku, że człowiek bez Boga jest w głębi swojej istoty zepsuty i niezależnie od wychowania, środowiska, kultury, wykształcenia, w każdym z nas tkwi wrodzona skłonność do zła. Wpływ tej „siły”, nie jest ograniczony do jakiegokolwiek grupy społecznej.

Chociaż w różnym stopniu, ujawnia się on zarówno w przypadku bogatych, jak i biednych, uczonych, jak i prostych ludzi. Zwycięstwa nad nim nie jesteśmy w stanie dokonać siłą naszej woli, jest ono możliwe dzięki łasce Bożej jako rezultat przemieniającego wnętrza działania Ducha Świętego.

Choć w świetle powyższych stwierdzeń czynnik wychowania, rodziny, otoczenia został zepchnięty nieco na bok, to jednak należy przyznać mu poważne miejsce.

Przechodząc już do moich osobistych przeżyć, nie sposób pominąć roli, jaką odegrali moi rodzice. Od najmłodszych lat słyszałem od nich o żywym Bogu, którego działania mogli doświadczyć. Ich świadectwo zrodziło ufną dziecięcą wiarę w to, że Pan Jezus jest realną osobą, natomiast Biblia jego prawdziwym Słowem, nie zaś zbiorem legend. Choć różnie wyglądało życie mojej rodziny, to jednak to przekonanie pozostawało we mnie, już wtedy udzielając mi pewnej radości, dając nadzieję.

Z pewnością wychowanie, które odebrałem chroniło mnie od wielu złych rzeczy. Sprawiało, że starałem się unikać kłamstw, nieuczciwości, a przekazane mi ewangeliczne zasady wywierały pewien wpływ na moje zachowanie. Jednak muszę szczerze przyznać, że miałem też swoje „za uszami”. Nie trzeba mnie było uczyć samolubstwa, złości, głupoty oraz nieposłuszeństwa, które choć nie ciągle, to jednak od czasu do czasu miało swoje miejsce.

Moje dzieciństwo upływało raczej beztrąsko – przynajmniej dzisiaj nie potrafię przypomnieć sobie doświadczeń, które zapisałyby się na dłużej w mojej pamięci, będąc przyczyną rozgoryczenia, bólu czy poczucia krzywdy. Oczywiście były momenty smutku, płaczu, po których jednak raczej szybko przechodziłem do porządku dziennego. W domu rodzinnym doświadczałem miłości, na zewnątrz też raczej cieszyłem się przychylnością. W szkole radziłem sobie, lubiłem się uczyć. Radość dawała mi gra w piłkę nożną z kolegami, później w tenisa stołowego, te zajęcia wypełniały sporo mojego wolnego czasu. Miałem też swoje zainteresowania (m.in. przyroda). To wszystko stanowiło mój świat – ciekawy, kolorowy,

sprawiający radość, satysfakcjonujący mnie.

Życie wydawało się piękne, z perspektywami na przyszłość. Odnosząc pewne sukcesy na szkolnym polu, umacniałem się w przekonaniu, że sobie poradzę, mało tego - zdołam „coś” osiągnąć, mówiąc skromnie, bo miałem swoje pyszne ambicje.

Jakie miejsce w tej „światlanej” wizji zajmował Pan Bóg? Na pewno nie pierwsze. Przypominam sobie myślenie, jakie zagościło w moim umyśle w pewnym momencie, w którym miejsce na „Boże sprawy” (rozumiane jako Kościół, głębsze rozważania na tematy wiary) było w niedzielę – ewentualnie. Generalnie – uznałem wówczas - nie muszę zbytnio zajmować swojego serca myślami o Bogu, wystarczy jeśli będę żył porządnie, nikogo nie krzywdząc, starając się mniej więcej wypełniać Boże przykazania. Chciałem cieszyć się życiem, odnosić sukcesy, jakoś sobie dogadzać. Nie upatrywałem przy tym zaspokojenia moich pragnień w rozpustnych imprezach, alkoholu. Chociaż to myślenie spychało Pana Boga na dalszy plan, to trzeba zaznaczyć, że część wiary, którą już wcześniej miałem, nadal we mnie pozostawała i dawała o sobie znać.

Wielką trwogę wywoływała we mnie myśl, że moje plany nie ulegną realizacji i nie doczekam się przyszłości. Powód? Nie nagła śmierć, nie choroba, ale... – powtórne przyjście Pana Jezusa, dzień Pański, który „nadejdzie jak złodziej w nocy”. W tej chwili niewierzący, może też ci uważający się za wierzących, uśmiechnęliby się z zażenowaniem. Jak taka nieprawdopodobna (w opinii wielu) rzecz, mogła mnie niepokoić? Odpowiedź jest łatwa – moja wiara, która chociaż różna, jednak była we mnie zakorzeniona. Naprawdę się bałem i ze strachem przyjmowałem wszystkie doniesienia, wskazujące na to, że koniec jest bliski. Przecież ja chciałem jeszcze nacieszyć się życiem, jeszcze przeżyć coś „fajnego”!

Ta świadomość powracała do mnie od czasu do czasu zaburzając mój wewnętrzny spokój i zmuszając mnie do pomyślenia o mojej relacji z Panem Bogiem. Zresztą nie tylko to. Jako dziecko, również później, odczuwałem strach kiedy miałem iść spać. Bałem się koszmarów, demonów. Ten lęk mobilizował mnie do codziennej modlitwy.

Poza tym wszystkim, czynnikiem, który również pobudzał mnie do szukania Boga było odzywające się czasami gdzieś w głębi pragnienie poznania Go. Przejawem tego były okresy, podczas których samodzielnie zaczynałem czytać Biblię. Jeździłem też na chrześcijańskie obozy, w czasie których bywały modlitwy o przyjęcie Pana Jezusa. Pamiętam, że dołączyłem szczerze do takiej modlitwy, chociaż, prawdę mówiąc, wydawało mi się, że zawsze przyjmowałem Pana Jezusa i nigdy Go nie odrzucałem. Czy to stanowiło moment mojego nawrócenia? Nie, co jednak nie umniejsza faktu, iż same obozy, głoszone podczas nich Słowo było dobrym zasiewem.

Poprzez to wszystko pragnę powiedzieć, że miałem dość ukształtowaną „chrześcijańską świadomość”. To jednak nie przynosiło rewolucyjnej zmiany w moim życiu. Uważałem się za wierzącego, być może zbawionego. „Być może”, bo docierało do mnie to, że czegoś brakuje w odniesieniu do mojej relacji z Panem Bogiem. Stwierdzałem to, patrząc na moich bliskich, którzy z pasją mówili o tym, co On dla nich uczynił. Moje poznanie Boga natomiast ograniczało się do tego, co od nich usłyszałem, a nie osobistego przeżycia. „Przecież wierzę” - myślałem sobie – „a zbawienie jest z łaski przez wiarę (jak mówi Biblia)”, z drugiej jednak strony przychodziły myśli: „czy miałbym być zbawiony dlatego, że urodziłem się w chrześcijańskiej rodzinie?” – bo przecież moją wiarę głównie temu zawdzięczałem – „Co z ludźmi, którzy nie mieli takiego przywileju?”. Rozważania tego rodzaju prowadziły mnie do

wniosku, że muszę szukać przeżycia, które da mi pewność, że jestem zbawiony (wierzyłem, że taką pewność można osiąść). Owe poszukiwania odkładałem na czas, kiedy będę miał dużo wolnego (wakacje, ferie). Będę się modlił, pościł, czytał Biblię, aż otrzymam nadnaturalne przeżycie, które da mi pewność, że jestem zbawiony – taką koncepcję sobie wymyśliłem i z tego, co pamiętam, podjąłem jedną taką próbę zbliżenia się do Pana. Niestety ta dobra i raczej szczerą chęć, szybko została stłumiona przez codzienność. Wracałem do normalności – przyziemnych pragnień, rozmów, żartów, brudnych myśli. Na marginesie dodam, że unikałem pornografii, erotyki. To nie było jednak potrzebne do wzbudzenia pożądliwości, wystarczyły spojrzenia na ładne dziewczyny, a w tym się nie ograniczałem.

Wreszcie, niezależnie od moich planów, terminów uporządkowania swoich spraw z Bogiem, nadszedł czas, w którym moje życie uległo trwałej przemianie. Nie przypominam sobie konkretnego dnia, wiem, że był to pewien okres... Okres, w którym wszystkie lęki, o których już wspominałem, skumulowały się. Nie wiem, dlaczego wtedy (w trakcie roku szkolnego) mój niepokój osiągnął stan szczytowy, wiem jedno – skutecznie popchał mnie w stronę Boga. Nie chciałem lub też nie mogłem już dłużej czekać. Szukałem trwałego pokoju, pewności, że cokolwiek się stanie, ja mogę oczekiwać na to, że wieczność spędzę z Panem Bogiem i nie pójdę na zatracenie. Do tej pory byłem raczej podobny do głupich panien, które znajdowały się w gronie oczekujących na Oblubieńca, a którym On (Pan Jezus), gdy przyszedł, powiedział: „*Nie znam was*” (Ew. Mateusza 25,1-13). Obawiam się, że to właśnie mógłbym od Niego usłyszeć oraz inne słowa, które skieruje do „wierzących” ku ich zaskoczeniu (Mt 7,21-23).

Co się wówczas stało? Zacząłem szukać Pana Boga z całego serca. Miejsce powierzchownej modlitwy przed snem, zajęło szczere „wołanie” w różnych porach dnia. Wołałem w swoim sercu i na głos, prosząc, aby Pan działał w moim życiu, pragnąłem należeć do Jego owiec, tzn. do grona zbawionych. I znowu muszę wspomnieć, że moje poszukiwania były skierowane na nadnaturalne doświadczenie, jako potwierdzenie zbawienia (tak sobie wymyśliłem). Kiedy tak szukałem Bożego działania, moje oczy zaczęły się otwierać...Zacząłem widzieć grzech. Uświadomiłem sobie swoją pychę, egocentryzm – co chwilę myślałem o tym, jak zwrócić na siebie uwagę, jak zabłysnąć, jak mnie oceniają inni. Chciałem wzbudzać podziw. Czy wcześniej tego nie widziałem? Właśnie na tym polega problem, że człowiek jest zaślepiiony na grzech, może od czasu do czasu go zauważa, ale później łatwo się przyzwyczaja, uznając go za coś całkiem zwyczajnego, nieszkodliwego. To, co normalne w oczach ludzi, nie jest jednak normalne w oczach Boga. Właśnie dlatego, że się do Niego zbliżałem, odczułem swój brud. Poza tym, że zacząłem się gorliwie modlić, moją uwagę zwróciłem na Boże Słowo – Biblię. Pragnąłem poznać Pana Boga i Biblia była środkiem ku temu. To Słowo, które „poniekąd” (to dużo powiedziane) znałem, zaczęło przemawiać w żywy sposób, przekonując mnie o moich błędach.

Przykładem może być sprawa posłuszeństwa rodzicom, które Biblia tak często akcentuje jako Bożą wolę, uznając przy tym nieposłuszeństwo wobec nich wprost, jako coś karygodnego. Ponadto krnąbrność, złość... Tak, jak mówił Pan Jezus w swojej przypowieści o siewcy, Słowo Boże (ziarno) może przynosić plon, innymi słowy działać, gdy padnie na właściwą glebę. Gleba mojego serca była wówczas przygotowana - zmiękczone i ziarno zaczęło wzrastać. Czy przypisuję to sobie? Nie, to Pan Bóg czynił to wszystko. Duch Święty przyszedł w odpowiedzi na moje wołanie. Nie czułem „prądów”, nie doświadczyłem jakiś wielkich manifestacji mocy Bożej (których się spodziewałem), ale zauważyłem, że coś zaczęło się we mnie zmieniać. Zwróciłem uwagę na słowa, których wypowiedzianie przychodziło mi do tej pory bez większej trudności, a które wyrażały złość, podenerwowanie.

Nie chciałem już, aby złe emocje, wychodziły ze mnie, pragnąłem je powstrzymywać. Do tej pory ciężko znośłem krytykę, napomnienie, bo to godziło w moją dumę. Moja stara natura z chęcią oddawała złem za złe. Ale kiedy wstąpiłem na drogę poznawania Pana Jezusa, te rzeczy przestały sprawiać mi satysfakcję. Gdy tak odpowiadałem złością na zło, czułem się złe. Wiedziałem już, że nie taka jest Boża droga postępowania, a zło powinienem zwyciężać dobrem. I jeszcze jedna ważna uwaga.

W rezultacie moich duchowych poszukiwań doszedłem do wniosku, że muszę się oddać Bogu w całości, podporządkować mu każdą dziedzinę mojego życia. Czy właśnie nie to stwierdza Pan Jezus, gdy mówi: *„Kto by chciał życie swoje zachować, utraci je, a kto by utracił życie swoje dla Mnie, odnajdzie je.”* (Mt 18,25). Utracić wszystko, porzucić swoje plany, poddać je całkowicie Bogu? Ta świadomość nie była dla mnie zbyt wygodna, chciałem mieć przecież trochę „luzu”. Ale pragnienie pokoju z Bogiem przeważało. Poddałem się... i wierzę, że w tej mierze, w której się poddałem, odniosłem zwycięstwo. Od tej pory starałem się porzucić lub ograniczyć wszystko to, co w jakiś sposób odciągało mnie od Boga.

Odkryłem, że źródłem prawdziwej miłości, radości, wszystkich szlachetnych wartości jest Pan Bóg, że Jego przykazania są słuszne i mają na celu dobro człowieka. Miejsce moich egoistycznych pragnień zajęła chęć pomocy i służenia drugiemu człowiekowi. Wiedziałem też, że największą pomoc, którą mogę okazać, to skierować go do Pana Jezusa – opowiedzieć Ewangelię. Tamte dni mijały, a ja, w przeciwieństwie do moich poprzednich doświadczeń, wciąż kierowałem swoje myśli w stronę Boga. Nie musiałem się do tego zmuszać, było to coś całkiem naturalnego – wypływającego z serca. Towarzyszyło mi poczucie, że Bóg widzi mnie w każdej sytuacji, cokolwiek robię, gdziekolwiek jestem – On jest wszędzie. Ta świadomość była i nadal jest dla mnie bardzo pocieszająca, ponieważ wiem, że żadna moja sprawa nie jest Mu obca. A jeszcze co do dziwnych lęków, które mnie nachodziły, muszę z radością stwierdzić, że odeszły.

Kiedy te pozytywne zmiany stały się widoczne dla innych i nie zawracałem do starego sposobu życia, doszedłem do przekonania, że Pan wysłuchał mojej modlitwy i przyjął do grona swoich dzieci. Od tamtej pory minęło kilka lat. Nie pamiętam dnia, podczas którego świadomie nie westchnąlbym do Boga, szukając u Niego wsparcia, sił. Nie przypominam sobie chwili, w której porzuciłbym ten sposób myślenia uznając, że jest nudny, nieprawdziwy. Doświadczenia były i będą, ale wspaniałość życia z Bogiem polega na tym, że On nas przez nie przeprowadza. Nie zawiodłem się na Panu. Mogłem i mogę doświadczać mocy modlitwy. To wszystko działanie Bożej łaski, która uzdolniła mnie – marnego, grzesznego człowieka, by prowadzić nowe, lepsze życie i zwyciężać nad egoizmem, złością, nienawiścią i różnymi złymi żądzami. Poznałem radość, która nie jest zależna od stanu posiadania, uznania ze strony innych ludzi czy sukcesów; radość wynikającą z tego, że Pan mnie przyjął, dał mi nowe życie, nadzieję sięgającą poza to doczesne życie. Cieszę z tego, jaki jest Bóg, raduję się Jego obietnicami zawartymi w Biblii. Zakosztowałem Słowa Bożego i stwierdziłem, że jest dobre. Dziękuję za to wszystko Panu Jezusowi!

micmar89@o2.pl